

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

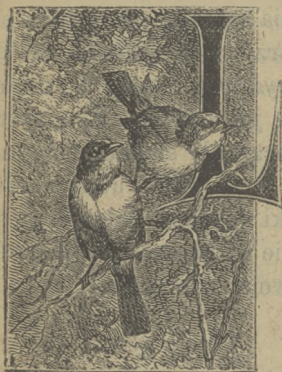
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

BYŁO ICH TRZY.

NOVELKA

p. Z. Morawską.

(Dokończenie).



ecz i ztąd listy nie były pocieszające, w jednym nawet Regina przyznawała, że jakkolwiek na pensyi bardzo dużo uczono, nauka ta nie dawała dostatecznego przygotowania do słuchania wykładów uniwersyteckich. W dalszych listach znać było jakąś tęsknotę, wypytywano się o drobne szczegóły domowego życia, o rodzęństwo, nawet o zwierzęta.

Tyle było w listach, piszące same przed sobą wkrótce przyznały, że umysł ich nie był dostatecznie przygotowany do kursów, później, że te wszystkie nauki były ogromnie trudne. Pracowały biedaczki, ile im sił starczyło, pod oczami porobiły im się ciemne obwódki, twarzyczki kwitnące zdrowiem zbladły, a sknie zdawało im się, iż co dnia rosną, tak były obszerne. Tymczasem suknie nie rosły, lecz one chudły, za każdym stuknięciem drżały, co było skutkiem bezsennych, strawionych nad nauką nocy.

Uczyły się, lecz nie tego co się uczyły nie rozumiały. Oprócz bowiem słabego przygotowania, żadna z nich nie od-

znaczała się zbyt wielkimi zdolnościami. Raz nawet idąc za dwoma najznakomitszymi profesorami uniwersytetu, usłyszały, jak dziwili się w ogóle zarozumiałości młodych osób, którym się zdaje, że każda z nich po wysłuchaniu kilku wykładów zajmie katedrę i stanie się uczoną.

Usłyszały nawet i to, że te dwie niedawno przybyłe z nad Wisły nie odznaczają się nawet inteligentną fizyonomią.

— Czyż u nich niema nic do zrobienia we właściwym dla dziewcząt zakresie — mówił jeden — że tłoczą się do uniwersytetu i marnują bezpotrzebnie siły, aż żal patrzeć! — dodał.

— Cóż chcesz kolego — odrzekł drugi — tym młodym, przewróconym głowom zdaje się, że byle tylko która liznęła trochę pensyonarskiej nauki, to każda gotowa na słuchaczkę, a potem do włożenia doktorskiego biretu. Nie rozumieją tego, że przecież i mężczyźni nie wszyscy idą na uniwersytet, lecz stosownie do zdolności obierają sobie zawód i pracę.

Dalój jeszcze profesorowie na tym punkcie dużo z sobą mówili, lecz nasze dwie panienki tak były oburzone tem co usłyszały, iż skrzyżowały umyślnie w pierwszą boczną ulicę, aby dalej nie słuchać. Słyły jednak w milczeniu, a każda sama przed sobą przyznała, że starzy profesorowie mają słusność, tając się z tem przed drugą.

Święta Bożego Narodzenia przeszły im smutno, na wspomnieniach tego co się w domu dzieje. Wielkanoc nie ożywiła ich również, nie orzeźwił ich nawet wiosenny wietrzyk, owszem ze słońcem z jakimś świeżym powiewem duszniej im jeszcze było, w piersiach coś dziwnie kołatało, w duszy było smutno i tęskno.

Listów z domu wyczekiwały z upragnieniem, otwierały z gorączkowym pośpiechem. Jeden z nich przyniósł serdeczne wyrazy matki: „Chociaż obecne warunki bardzo są trudne i coraz ciężej nam o zebranie kilkudziesięciu rubli, chętnie je jednak ojciec pośle, bylebyś przyjechała na wakacje kochana Reginko”.

List ojca Idalki brzmiał mniej więcej w tym samym sensie.

— Więc pojedziemy! — zawołała z radością Idalia — a rumieniec dawno nie widziany wykwił na jej twarzyczce.

— Naturalnie, naturalnie! — odpowiedziała Regina i rzuciła się na szyję przyjaciółce, a w serdecznym pocałunku obie dwie uczuły łzy na twarzy.

W kilka tygodni potem pakowały swoje manatki.

— Cóż ty tak zbierasz wszystkie drobiazgi, jakbyś nie miała już wrócić? — zapytała Idalia.

— Nie mam gdzie tych drobnostek zostawić.

— Masz słuszną i ja wszystkie rzeczy zabiorę — odrzekła pierwsza, schylając się nad kuferkiem, aby ukryć łzy, cisnące się do oczu.

I przyjechały, w domu czekano ich ze drżeniem, każdą powitała matka ze łzami, ojciec ze zmarszczką na czole choć z uściskiem serdecznym.

Nigdy im jeszcze tak dobrze w domu nie było, pieściły młodsze rodzeństwo, przypatrywały się drobnym zajęciom gospodarczym, interesował ich ogród, pszczoły, wszystko co tylko było na wsi. Byłyby chciały od razu wszystko obejrzeć, o wszystkim się dowiedzieć. Każda z nich starała się matkę wyręczyć, wnikać w domowe troski i kłopoty, w owe małości życia, które poprzednio zdawały im się za zbyt poziome, bo one do wyższych dążyły celów. Teraz o tych *celach* nie wspomniały.

I jednej niedzieli kiedy Idalia przyjechała do Reginy obiedwie wyznały w skrytości przed sobą, że lepiej by było gdyby na uniwersytet nie wyjeżdżały.

— A gdyby tak teraz nie wracać?... — rzekła Idalia.

— Ha, i ja tak sobie myślałam — odrzekła Regina ale wstyd...

— Wstyd, wstyd to prawda — ale...

— Ale? — przerwała pytająco Regina i spojrzała badawczo w oczy przyjaciółce.

Zrozumiały się w tem spojrzeniu i znowu uściśniły serdecznie.

— Wszak lepiej późno, niż zapóźno! — rzekła. I tutaj możemy pracować i tutaj możemy mieć cel piękny, obejmując jakiś dział gospodarczy.

— Prawda, i to będzie *cel wyższy*, jeżeli pracując w naszym zakątku, rzucimy odrobinę tego światła, któregośmy same nabyły — odrzekła z namysłem Regina.

— Tem więcej, moja droga, że naprawdę my nie mamy takich wielkich zdolności — przyznała się po raz pierwszy Idalia.

— Ach, tak, niestety! — zdawało nam się, że możemy sięgnąć po wysoką naukę i świat cały pchnąć na nowe tory.

— Niestety tylko zdawało, westchnęła przyjaciółka.

— Prawda, prawda, ale jak ciężkiego doznałyśmy zawodu! — mówiła smutnie Idalia.

— Tak i teraz przyniesiemy pożytek, jeżeli nie całemu społeczeństwu, to równym nam dziewczętom — mówiła Regina. — Z własnego doświadczenia powiemy im, że lepiej w ma-

łem kółku pracować według sił swoich i zdolności, niż wracać się z połowy drogi! Uniwersytet, wyższe nauki, są tylko dla wybitnych zdolności.

— Ach, tylko, tylko — odrzekła Idalia. I to jeszcze dla bardzo pracowitych.

I znowu uściśniły się, złączone nową powziętą myślą.

Nadszedł czas wyjazdu do uniwersytetu, nikt o tem jednak ani wspomniał, nie wspomniała też ani Idalia ani Regina.

Rodzice spoglądając na nie, uśmiechali się porozumiewająco między sobą, nie drażniąc córek żadnym pytaniem.

Tymczasem Regina zajęła się młodszym rodzeństwem; uczyła najstarszą z siostr, dla innych szyla i reperowała odzienię, z początku trudno jej to było, bo nie nawykła do igły, nie umiała się bardzo z nią obchodzić; powoli jednak przy wrodzonej ku temu zręczności, nabyła pewnej wprawy. I od-tąd nigdy ani jej łokieć nie wyglądał ciekawie z rozprutego rękawa, ani też kolana i łokcie siostr i braci nie używały świeżego powietrza. Z czasem odprawiono nawet szwaczkę, która dotąd bezprzestannie w domu gościła.

Idalia mająca wstręt do owych serów i mleczywa, nabrała jakoś do nich zamiłowania. Pachciarz Jasek gniewa się o to, lecz ona obznajmiwszy się z przerabianiem mleczywa, płaci ojcu to samo co Jasek za mleko, a sama zabiera z tego dochód, wskazując drogę sąsiadkom, jak pożytecznie dzień można na wsi przepędzić. Oprócz bowiem nabiału, zajmuje się pilnie ogrodem i myśli drzewka swojego szczenięcia posłać na wystawę ogrodniczą.

Zapytają się czytelniczki, z kąd te panienki, uczące się na pensyi i słuchające rok cały kursów uniwersyteckich nabyły wiadomości o gospodarstwie i szyciu.

Łatwa odpowiedź, przy dobrej woli, tego rodzaju wiadomości każda zdobyć może, książek w tym kierunku nie brakuje, a do pracy takiej nie potrzeba wyższych zdolności. Trochę inteligencji, pomocniczej nauki jaką każda wynosi z pensyi, t. j. rysunku, rachunku, początków chemii, a przede wszystkim ładu w głowie i wytrwałości, to i wszystko czego potrzeba.

I znowu bywa ich trzy, bo Kasia czasami przyjeżdża na święta do krewnych. A wszystkie trzy są w zgodzie, Idalia i Regina nie rzucają frazesami o *wyższych celach*, bo celem ich jest pożyteczna praca, tak samo jak i Kasi. Z tą tylko różnicą, że kiedy Idalia i Regina zaczynały swą teraźniejszą pracę, Kasia już ze swojej miała przyzwoite utrzymanie. Obecnie zaś myśli o założeniu fabryki wyrobów galanteryjno-introligatorskich i przyjmować będzie uczennice. Najpierwej stanęła u celu, bo nie przeceniała swoich zdolności.

List z Paryża.

Czuję się bardzo winną, że przysławszy opisy wystawy, oddzielnie nie pisałam do ciebie, kochana Gołąbko, równie jak i do kochanych siostrzyczek moich współczytelniczek Wieczorów. Różne zajęcia z powodu wyjazdu na wieś w tem mi przeszkodziły. A teraz wiecie co wam powiem? Oto tyle mówią wszędzie o tej wystawie, tak zewsząd widać tę nieznośną wieżę Eiffla lub przedstawiające ją rysunki, że doprawdy wszystko to już mię porządnie znudziło. Rok temu, kiedy słyszałam o mającej stanąć ogromnej 300 metrowej wieży,

która co wieczór będzie oświetlona od stóp do szczytu, o ruchomym trójkolorowym ogniu, byłam okropnie ciekawą zobaczyć te cuda i nie wiem cobym była dała, żeby już być w tym pamiętnym roku 1889. Otóż rok ten nadszedł... Z początku podziwiałam, teraz... no, to wszystko mię nudzi. Jeżeli chcecie, drogie moje, opowiem wam lepiej przechadzkę do parku St-Cloud odbytą niedawno przed wyjazdem na wieś, gdzie jestem obecnie. Wiecie wszystkie zapewne co to jest St-Cloud? Miejscowość ta wzięła nazwę od S-go. Klodoalda, syna Klodo-weusza. Znacnie zapewne straszliwą historię tych biednych książytek, zamordowanych przez stryjów? Otóż jeden z nich Klodoald, zdołał uciec za pomocą służby, dostał się do klasztoru i został muichem. Teraz, na tem górzystem miejscu, na brzegu Sekwany, leży miasteczko i park wspaniały, widać także zwaliska zamku spalonego podczas ostatniej wojny.

Najprzód was przyprowadzę do latarni Diogenesowej. Ztąd się ma widok na cały Paryż. Widzicie siostrzyczki wieże Notre-Dame, fary paryżkiej, któż jej nie zna przynajmniej z obrazków? Widzicie także kopułę Pantheonu, zbudowanego w pierw na pochowanie znakomitych ludzi. Kilka razy zmieniał przeznaczenie: niedawno jeszcze był kościołem ś-tęj. Genowefy patronki Paryża, teraz jest znów olbrzymim nagrobkiem od chwili śmierci i pogrzebu Wiktora Hugo. Widzicie duże, wysmukłe, wschodnie wieżyczki pałacu Trokadero i gmachy wystawy, a nad tem wszystkim, ta dręcząca wieża Eiffel... my z koleżanką Marylą z Krakowa, gdziein-dziej patrzymy, tam pośród Sekwany w cieniu Notre-Dame prawie, widzicie tę wyspę? To wyspa 6-go. Ludwika, na której leży Hotel Lambert. Na miejscu gdzie stoimy, odbyły się liczne majówki, w jednej brałiśmy udział... Tu się odbyła zabawa polsko-czeska z deklamacyami, gdy do Paryża przybył pan Vrchlickij, sławny poeta czeski.

Ztąd podczas wojny, Prusacy strzelali do Paryża. zginął nie jeden Poznańczyk.

Paryż cały przed nami. Iluż to w tój chwili cudzoziemców roi się po tym olbrzymim mieście... przybyłych zdała ze wszystkich kątków Europy z Ameryki, z Azji, ba i z Afryki. Może słyszeliście o przybyciu do nas króla afrykańskiego murzyna Dma Palefu, i jego żony, pani *Filis* (co za romantyczne imię!)

Wszyscy ponieśli trudy i wydatki, ażeby tu przybyć, a my ztąd chętniebyśmy odleciały zaraz do was, siostrzyczki moje, gdybyśmy naprawdę były jaskółkami. Ścisła was serdecznie

wasza Jaskółka z nad Sekwany.

Posyłam dzięki i pozdrowienia wszystkim ptaszynom. kwiateczkom, światełkom naszym... Staszce z Podola i Niezabudce czeskiej osobny uścisk.

PSIEJDA

czyli:

Historja Azora, który,
Niecierpliwiej był natury.

I.

Gdy szkodne myszy i nikkzemne szczury
Dawno znalazły potężnego piewce,
Wstyd, że do dzisiaj psiej doli ponuręj
Żaden poeta wyśpiewywać nie chce:
Zatem. o! Muzy z Helikonu góry
Przybądźcie do mnie, bo mię próżność łechce
Dosiąść Pegaza, wzlecieć w rymów knieje
I psią dziś światu śpiewać rypeje.

* * *

Tam gdzie nad Wisły falą zielonąwą
Na wzgórzu stoi dawny gród syreni,
Gdzie Saski ogród dziatwy wre zabawą,
A na chodnikach, kto całość swą ceni,

Musi uciekać to w lewo to w prawo,
Bo dziatwa co się w wózkach swych rumieni,
Wjeżdża mu temi wózkami na pięty...
Tam mieszka Azor, wróg kotów zawzięty.

* * *

Azor, pies dzielny, z długimi uszami,
Z ogonem w górę wzniesionym ochoczo,
Nigdy się złością nerwową nie splami
Choć Staś i Zosia mu siodło przytroczą,
Lub tak z nim tańczą aż znieczą się sami,
Lub na nos kładąc pieczonkę uroczą
Każą mu długo ją trzymać cierpliwie...
Wzdycha pies tylko i spogląda tkliwie.

* * *

Lecz niech do Stasia lub Zosi się zbliży
Ktoś Azorowi trochę podejrzany,
Wnet Azor skoczy nasrożon a chyży
Błyska zębami jak lew rozgniewany,
Rzuca się, chwytą, to niżej, to wyżej
I gotów srogie pozadawać rany,
Lub dać swe życie w swych paniąt obronie
Wierny za życia i wierny przy zgonie.

* * *

Ale i dzieci, rozsądne, posłuszne,
Nigdy psu swemu brzydko nie dokuczają,
A nawet latem w gorące dnie duszne
Widząc że zieje, mniej tańczyć go uczą.
Aż wtem... rozkazy wydano i słuszne,
Z racy wypadków co Pawią czy Kruczą
Ulicę którąś nawiedziły srogo,
Że psy w kagańcach tylko chodzić mogą.

* * *

Zatem Azora w kaganiec ubrano
Choć z wielkim żalem, bo mu niewygodnie,
Niby kapelusz wkładając co rano,
Podszywszy miętko, przystroiwszy modnie:
Tłómacząc przytem że go nie karano
Tak z koniecznością postępując zgodnie:
Wszystko napróżno!... pies w dzikiej rozpacz
Nie chciał rozumieć co kaganiec znaczy.

* * *

— Co — myśli sobie — za szczere psie serce,
Za psią mą wierność, tak mi ludzie płacą!
Wiążą mi szczęki... toż chyba oszczercę
Albo innego jakiego ładaco
Możnaby w takięj miewać poniewierce!...
Jam prawdę czekał, i karzą mię!... za co?...
Spuścił pies ogon tonąc w smutku fali:
Co ztąd wynikło pokaże się dalej.

(d. c. n.)

Kula ziemska na wystawie paryżkiej.

Wśród egzotycznych pawilonów wystawy, wznosi się dwupiętrowy budynek, z okrągłym oszklonym dachem, mieszczący w sobie kulę ziemską wielkich rozmiarów, jakieś dotychczas nie widziano, obwód jej wynosi czterdzieści metrów. Wspominał już o nięj w liście swym nasz korespondent Julek, obecnie wszakże dając rycinę musimy o nięj pomówić obszerniej. Głob ten wykonali biegli geografowie: Villard i Cotard, pod kierunkiem komitetu, złożonego z uczonych specjalistów. Honorowym jego prezydentem jest cesarz brazylijski Don Pedro. Z ziemi winda podnosi widzów na drugie piętro pod samo koło biegunowe. Kula gładka, pasma gór nie oznaczone wypukłością, zarysowane tylko czerwoną drogi słynnych żeglarczy, których wyprawy rozszerzyły widnokrąg geograficzny.

Różnokolorowe ćwieczki powbijane tu i owdzie, dają poznać bogactwo kopalne, zachowane we wnętrzu ziemi. Z góry nie spuszcza się winda; ani zstępuje po schodach, ale pochyłą drogą okrąża potrzykroć kulę, obejrzeć ją można najdokładniej ze wszystkich stron, aż do południowego bieguna, sięgającego ziemi. Z tak ścisłą dokładnością wykonany ten glob, że w ciągu ostatniego roku, podwakroć przerabiano na nim Afrykę, według wskazówek ostatnich podróżników, którzy dotarli do miejsc nietkniętych cywilizowaną stopą. W okół globu na ścianie, pomieszczono osobne mapy: jedna wskazuje grubość skorupy ziemskiej i wysokość atmosferyczną, inna szereg gór i wzajemny stosunek ich do siebie. Nad wszystkimi panuje Granwisankor, w łańcuchu Himalajów: nikną przy nim Alpy i Pireneje. Nakreślone tu na tablicach cyfry statystyczne, pokazują ludność każdego kraju, w stosunku do przetrzeni, obroty handlowe, drogi żelazne i t. d. Znana dziś ludność kuli ziemskiej wynosi 1,483,000,000 mieszkańców: z tych przypada największa część na Chiny, obejmujące z górą czterysta milionów. Londyn przechodzi ludnością wszystkie miasta na świecie; liczy ję przeszło cztery miliony. Po skończonej wystawie, glob ten pomieszczony ma być jednym z ogrodów publicznych.

dodała zwracając się do Henryka — wspomnisz kiedyś ten dzień i twą dumę.

Przepowiednia szlachetnej kobiety spełniła się prędko. Fryderyk zawarł pokój z Włochami, i wrócił do Niemiec. Przyszedł teraz czas obrachunku za winy dumnego wasala.

Pokonany Henryk Lew ujrzał się opuszczonym od wszystkich. Odebrano mu państwo a na głowę nałożono cenę.

Fryderyk Rudobrody bawił wtedy w Erfurcie. Przechodzącemu, przez podwórczy zamkowy monarsze rzucił się do nóg, ścigany i upokorzony książe, błagając miłosierdzia.

Gniew zawrzał w sercu cesarza, przypomniał sobie ów dzień we Włoszech gdy w tęg postawie poddanego o pomoc prosił, a wysłuchanym nie został.

Ale wrodzona szlachetność wzięła górę nad chwilowem uniesieniem.

— Sam stałeś się przyczyną swego nieszczęścia — powiedział z dobrocią podnosząc Henryka.

Ułaskawiony książe gorzko żałował niewdzięczności swojej, upokorzony wspaniałomyślnością dobroczyńcy nie śmiał jednak pozostać w Niemczech, bojąc się nienawiści rodaków. Zamieszkał w Anglii, gdzie w pięćset lat potem potomkowie jego na królewskim zasiedli tronie.



Azor pies dzielny z długimi uszami...

Spuścił pies ogon tonąc w smutku fali...

KSIEGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

HENRYK LEW.

Było to roku 1176. Niemcami rządził wtedy cesarz, którego zwano Fryderykiem Rudobrodym (Barbarosa), a słusznie stawiono jego imię bo szlachetnym umiał być ten monarcha.

Zaraz na wstępie panowania użył swę władzy aby nagrodzić krzywdę wyrządzoną księciu saskiemu, Henrykowi Lwu, oddał mu wydarte przemocą państwo, to też mógł się spodziewać, że pozyska w nim przyjaciela.

Tymczasem stało się inaczej.

Ciężkie dni przyszły dla Niemiec. Fryderyk Rudobrody walczył z Włochami, a niepewny zwycięstwa wezwał do obozu Henryka, prosząc go o pomoc.

Ale dumny Lew, mając tylko swoje wyniesienie na celu, chciał upokorzyć Fryderyka.

Przyciśnięty potrzebą cesarz, zapominając o powadze monarchy, kłękł przed swoim wassalem.

Wtedy zbliżyła się do cesarza małżonka jego i powiedziała z godnością:

— Wstań miłościwy panie! Bóg ci dopomoże, a ty —

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

— Hh hm, dobrze, bardzo dobrze udało ci się jeszcze na ten raz — mruzczał kapitan głaszcząc ster Jaskółki, zupełnie tak jakby żywego dobrego rumaka. A potem spojrzawszy przypadkiem na mnie, pogłaskał mię także!

Gdyby mi nie powiedziano, że jesteście u wybrzeży wyspy Jawy w porcie ję głównego miasta Batawii, nigdy nie odgadłbym tego. Miasta nie widać wcale, ani nic, prócz zielonych wybrzeży. Przystęp musi być trudny, bo kilka okrętów stoi na kotwicach zdaleka i Jaskółka staje także zdaleka przeszło na półtory mili angielskiej od brzegu. Wsiadamy do dużej łodzi i przepływamy przestrzeń, a potem jeszcze zagłębiamy się w jakiś kanał i znowu płyniemy.

— Czy miasto uciekło tutaj od morza? czy co? — pytam.

— A uciekło i słusznie, bo inaczej żywa duszaby się w niem nie uchwalała, gdyby chciało siedzieć na tych błockach nadbrzeżnych, ziejących zaraźliwe miazmaty — odpowiada Mille, który jest z nami.

Nareszcie nędzna buda ukazuje się nad brzegiem, stajemy i wysiadamy na ład. Ta buda jest to komora celna, gdzie krótko się załatwiamy, następnie odłączamy się od to-

warzyszy podróży, wsiadamy do tramwaju (znowu do tramwaju Wańdziu, ale nie koń tylko lokomotywa go ciągnie) i jedziemy, wygląd okolicy nagle się zmienia. Otaczają nas prześliczne jak cacka chińskie domeczki, na przemian z pysznymi pałacami, usadowionymi w głębi przepysznych ogrodów, o drzewach ogromnych; są to siedziby holenderskich bogaczy, które same przez się, zdają mi się raczej podobne do tych parków i starożytnych dworców angielskich, o których tyle się już nasłuchiwałem i nazywałem, nie widziawszy ich nigdy w życiu.

biura, składy ogromne, a ciemne i wcale niestrojne, gdzie załatwiają się ważne na cały świat handlowy interesy. Pan Antoni musi czekać w jednym z tych zakurzonych półciemnych kantorów, na przybycie pryncypała, do którego ma interes powierzony przez dom handlowy paryzki, gdzie sam pracuje, przy niezbyt zyskownych zajęciach na niwie naukowej. Usiedliśmy tedy i czekaliśmy, ale po dziesięciu minutach, pan Antoni zrozumiał moje miłosierne spojrzenia i spytał, czy nie wolałby czekać na świeżym powietrzu, przechadzając się nad najbliższym wybrzeżem kanału, gdzie przyjdzie



Kula ziemiska na wystawie Paryżkiej.

Umieściwszy się w hotelu, gdzie i właściciele i służba wszystko są Francuzi tak, że możnaby zapomnieć, że się jest w Indjach, zjedliśmy jakiś frikas francuzki, a potem gdy pan Antoni obejrzał swoje drogocenne pakunki, które tymczasem służący hotelowy przywiózł, wsiadliśmy do najemnego powozu i pojechaliśmy do starego miasta. Otóż pokazało się, że Batawja, niegdyś jedno z ważnych i wielkich miast na wschodzie, zwane nawet królową Wschodu i dziś jeszcze posiadające około dwóch kroć mieszkańców, dzieli się na dwa miasta, zupełnie do siebie nie podobne. Nowe miasto, to owe siedziby bogaczy i ich rodzin, ulice tam szerokie, domy piękne, ogrody prześliczne; stare miasto ma domy wysokie stare takie, że aż się wala niektóre, uliczki wąskie, a wszystko takie ma wygląd opustoszały, jakgdyby wcale zamieszkałe nie było; tymczasem tam to właśnie mieści się dusza Batawii, to jest kantory,

do mnie gdy się zwolni, na co chętnie przystałem. Przecho-
dząc teraz powoli i uważnie, aby się nie zbłąkać, część starego miasta, spostrzegłem dopiero, że pierwsze wrażenie, jakie to miasto na nas uczyniło, nie zupełnie było zawodnym. Tak, to pustkowie jest po części istotnie niezamieszkałe, co łatwo jest zrozumieć, skoro wiadomo, że w tem starym mieście Batawii, na które patrzę, klimat z powodu błót nadmorskich jest tak zabójczy dla cudzoziemców zwłaszcza, że owa królowa wschodu zasłużyła sobie także na drugą nazwę, a mianowicie: „grobu Europejczyków”. Ale dzisiaj musi tu być wcale inaczej, odkąd bogaci Holendrzy przesiedlili się do nowego miasta, które położone na wyższej miejscowości, przy szerokich i przewiewnych z holenderską czystością utrzymanych ulicach i mnóstwie pięknych ogrodów, otaczających domy i drzew jakimi wysadzone są brzegi kanału, musi być zdro-

wem dla mieszkalców; inaczej nie sadowiliby się tu oni tak rozkosznie.

Rozpatrując się i rozmyślając, zaszedłem wkrótce na wybrzeże kanału i z wolna przechadzałem się pod cieniem drzew, gdy wtem spora łódka ukazała się na wodach. Wiatr wiejący w rozpięty żagiel, popychał z lekka statek, u masztu stał człowiek. Zdziwiło mię, że człowiek ten nie dotykał wcale steru, a gdy się lepiej przypatrywać zacząłem, spostrzegłem, że był to młody chłopak biały, w moim wieku może. Tymczasem spostrzeżono toż samo, co ja już i z komory celnej, niedaleko od miejsca gdzie stanąłem, a którą łódź już minęła nie zatrzymawszy się; zaczęto wołać, ale płynęła dalej spokojnie i żeglarz nie zmieniał postawy, jakby był głuchy, zatem strażnicy skoczyli do swoich łódek i pogonili za ową łodzią, która zbliżała się do miejsca gdzie stałem.

— O o, patrzcie—chłopak udaje głuchego, próbuje czy nie uda mu się wprowadzić bez cła jakieś towary do miasta!.. — ozwał się ktoś koło mnie i kilka osób przechodzących zatrzymało się przypatrując. Pan Antoni nadszedł także.

— Jaki śmiały, w biały dzień, i o mało mu się nie udało już dawno minąć komorę, gdy go dopiero zobaczono przypadkiem, nie zważano na niego... — rozpowiadali ludzie, a strażnicy dopędziwszy łódź, weszli na nią i po chwili skierowali ją do najbliższego wybrzeża; gdy się zbliżyli ku nam, rozległ się krzyk przerażenia, i ja podobno krzyknąłem, bo łódź była zbluzgana krwią, chłopiec przywiązany do masztu, a więc wyprostowany jakby stał, miał oczy otwarte, ale widocznie był nieprzytomny, a stopy jego broczyły w krwi, krzyki grozy pełne, jęczały naokoło:

— Zbójcy, malajskie potwory przeklęte, znowu wymordowali całą załogę, zrabowali ładunek, tylko chłopaka na urągawisko zostawili!... Tłum coraz liczniejszy otoczył biedną ofiarę cucząc ją, przybyło kilku przedstawicieli władzy z nowego miasta Batawii, a my odeszliśmy z wolna i w milczeniu, nie będąc tu potrzebni ani mogąc pomocy użyć. O moja Wańdziu pomyśl tylko, jakimi to nieocenionymi bohaterami są tacy ludzie jak kapitan John Reiss, który patrząc nieledwie codziennie na takie okropności, od lat trzydziestu pływa bezustannie tam i napowrót po tych zbójcekich morzach, dniem i nocą stojąc na straży swego okrętu, co chwila przygotowany do walki śmiertelnej. Nieprzytomny chłopak brocząc we krwi stał mi przez całą noc na oczach; prawie wcale spać nie mogłem. Mimo znuzenia trzeba było zerwać się przed szóstą, bo o szóstej rano siedzieliśmy już w wagonie, odznaczającym się najpierwotniejszą prostotą pod względem wygody i wykwintu, a może właściwiej będzie powiedzieć, że o tych dwóch warunkach dzisiejszych podróży nie pomyślano tu jeszcze wcale, dla tego mianowicie, że nie miano jeszcze na to czasu. Kilku Chińczyków robotników widocznie, bc nawet niektórzy zaopatrzeni są w narzędzia jedzie z nami, skutkiem czego błogosławimy okoliczność, że wagon jest odkryty pomimo, że deszcz pada. Ścisłe rzeczy biorąc jednakże, nie Chińczycy robotnicy z nami, lecz raczej my to z nimi jedziemy, gdyż pociąg jest dla robotników przeznaczony i wiezie ich i nas do Tandżong Priok, gdzie właśnie obecnie ogromne odbywają się roboty, ponieważ Holendrom podobało się zbudować tu sobie nowy port, a to w pośród najokropniejszych błot i bagnisk, gdzie straszliwe topią sumy. Z początku podróży okolica jest ładna, ale wkrótce zaczęły się istotnie szkaradne bagna. Holender jadący z nami, usłyszawszy co pan Antoni mówi do mnie, że bagna te świeżo poruszone i uczęszczane teraz przez przejeżdżających tędy Europejczyków staną się znów źródłem śmiertelnych chorób, zaprzeczył temu z wielką powagą, zapewniając, że tylko jadąc w nocy, gdy miazmaty obficie się wydzielają, moglibyśmy być w niebezpieczeństwie, lecz przejeżdżając we dnie niema żadnego. Holender ten niezręcznie bardzo, ale uparcie bronił zdrowotności nowego portu i jego okolic, śmiał się z tego pan Antoni, a wtem konduktor także Holender dosłyszawszy o czem mowa, gorąco poparł zdanie rodaka utrzymując, że bagna okoliczne są właśnie zdrowotne niezmiernie, a to i w dzień i w nocy. Gdy nastę-

pnie po przybyciu na miejsce zasłyszeliśmy, na najłżejszą w tym przedmiocie zaczepkę, inne także same zdania, przy czym Holendrzy aż zaperzali się z zapалу, wprost przeciwko plemiennej swej naturze, tedy zrozumieliśmy solidarny interes pocziwców wmawiających cudzoziemcom zdrowotność świeżo budującego się portowego miasta. Nic to jednak nie pomaga, zaledwo przybywszy nad przystań, ujrzałem za pierwszym rzutem oka kilka okrętów stojących na kotwicach bardzo daleko od brzegów tak właśnie jak robią w Batawii, przystań nowa tutejsza zarówno jak batawska pustą była, jakby wicher wymiół z niej życie i ruch. A tymczasem rząd holenderski nie żałuje milionów na roboty ziemne w celu polepszenia warunków zdrowotności; ziemia i bagna wszystko tu na około wzburzone i rozkopane, roboty prowadzą się na ogromną skalę.

Zaledwie wysiadłszy z wagonu, pan Antoni zwraca się do pierwszego z brzegu Europejczyka, widocznie inżyniera dozorującego te roboty i opowiada mu w kilku słowach, że przybywa w celu naukowym, dla zwiedzenia miejsc dotkniętych straszną katastrofą w roku 1883, ku czemu posiada odpowiednie upoważnienia i listy polecające; jako też że pragnąłby korzystać w tym celu ze sposobności jaka nadarza się w towarzystwie Anglika pana Toby Trim, który podobno w takichże zamiarach wyruszył przed dwoma dniami z Batawii do Tandżong Priok.

Pan inżynier kiwa głową, prowadzi nas prosto do hotelu i zasiada wraz z nami do *table d'hôte* przy którym znajduje się już pomieniony Anglik i całe towarzystwo panów kierujących miejscowymi robotami portowymi, w komplecie. Starania o pozwolenie i pomoc w zwiedzaniu miejsc dotkniętych nieszczęściami z 1883 r. rozpoczęte były bardzo urzędownie przez p. Antoniego w Batawii, ponieważ uprzedzono go, że Holendrzy nie lubią, aby obcy „przeglądali im kąty”. Tutaj jednak dopiero uwieńczył je pomyślny skutek, a to w czasie obiadu, po dziesięciu minutach znajomości, i bez wszelkich cech urzędowych.

— Ślicznie zrobiłeś sir — rzekł jeden z tych panów do p. Trim — czekając cierpliwie na sposobność; a pan — dodał do p. Antoniego zrobiłeś jeszcze lepiej pospieszając co prędzej za panem Trim, najlepiej zaś zrobiła nasza „kamieniarka”, która dziś rano właśnie wróciła z ładunkiem kamieni, gdy tylko złoży ładunek, będziecie mogli panowie wsiąść na nią.

— Cóż to jest kamieniarka?

— Jest to maleńki parowiec, tak zwany z powodu, że służy nam do dostawiania obok innych materiałów głównie kamieni, zwożąc je z różnych stron jawańskich wybrzeży, gdziekolwiek się znajdują.

Wczesnym porankiem wypływamy na maleńkim naszym statku, wymijamy kilka okrętów, stojących na kotwicach i... uczuwam lekki dreszcz przebiegający mi od stóp do głowy... oglądam się, co się stało? Nie stało się nic, tylko zapuszczamy się w labirynt małych i maleńkich wysepek, wyglądających zupełnie jak świeże zielone wiązanki lub koszycki przepełnione ogromnym mchem, porozrzucane swawolnie ręką olbrzyma po szafirowo błękitnawej bezdui mór. Tak, ale wśród takich wysepek właśnie jak to wiem już z doświadczenia napadają w tych okolicach na daleko większe od naszego statki: Tylko proszę cię droga siostrze nie dawaj tych listów czytać nikomu gdyż tylko dla ciebie są pisane: ktoś obcy nie znający mię tak jak ty, przeczytawszy to co napisałem o dreszczach, gotówby zaraz pomyśleć, że drżałem ze strachu, ale ty droga moja nie pomyślisz nic podobnego, gdyż znając mię, wiesz dobrze iż to było jedynie usposobienie nerwowe, jakiemu podlegają czasami nawet prawdziwie mężni ludzie. Swoją drogą przejażdżką była prześlizna, morze spokojne jakby zadumane nad pięknnością poranku. Okrążamy wybrzeża Jawy, zwracając się po części w stronę, z której przybyliśmy wczoraj, to jest ku Batawii.

— Cóż to za niezliczona ilość tych prześliznych wysepek i jakie maleńkie niektóre, toż to pojedyncze gajki zale-

;dwo postawić szalaś w takim gaju i jak raz cała taka wyspa ze swą gęstwiną starczyłaby na ogródek dla jednego człowieka! — powiadają.

— Nazywają się też z powodu swój mnogości archipelagiem Tysiąca-Wysp — odpowiada bardzo uprzejmy i rozmowny, jak na Holendra pan van Verde nasz obecny kapitan na tym parowcu mniejszym od niejednej dużej łodzi.

— Cóż to za ogromne góry? Ach coż za ogromne! Albo raczej coż to jest? Czyliżby różowe chmurki spuściły się tak nisko, że szczyty gór z ponad obłoków wyglądają? To chyba nie może się zrobić tak w jednej ograniczonej miejscowości, panie Antoni patrz pan, oto obłoki u stóp gór, nie jestże to złudzenie optyczne? Może to fata morgana, ten cały zaczarowany krajobraz?

— Wcale nie, na nieszczęście — odpowiada wzdychając van Verde. Te dwie najwyższe góry tam na krańcach widnokregu to wulkany, ten Ghede, a tamten Salak zwane są to dwa szczyty tego całego łańcucha gór potężnych, który oto ciągnie się od wschodu na zachód. A te obłoki poetyczne jakby zlekką odbłaskiem jutrzeńki zaróżowione, o fantastycznych kształtach, otaczające podstawę tych gór i całą okolicę, bo tam jest przecież całe wybrzeże i Bawia wraz z przystanią, których po za temi obłokami przekłętymi nie widzimy wcale, ach te obłoki... toż to są te wyziewy zabójcze, to są zaraźliwe a śmiertelne choroby. powstające o wczesnym poranku tak wyraźnie i widocznie w zgeszczonój do widm fantastycznych podobnej postaci, z głębi bagnisk i błot nadbrzeżnych miejscowych. Czy widzisz jak się chwieją, wahają podobne niby do skrzydlatych smoków bajecznych?... wahają się przekłete, poruszają, zwijają i rozwijają swe zwoje, jakby nietoperze olbrzymie probujące skrzydeł błoniastych... dopiero silniejszy podmuch od morza rozpędzi tych poczwargromadę... ale któż wie gdzie wtedy powłoka się straszyla... Oby wiatr dobroczynny uniośł je wysoko i daleko w przestrzenie kędy ludzi нема!

— Panie Antoni! potwór morski! potwór! — krzyknąłem w chwilę po tej rozmowie.

— Gdzie? co? Ależ to widocznie latarnia morska jakaś, chłopcze co ci się dzieje? czy złudy świetlanego poranku na podrównikowych morzach oczarowały cię naprawdę?

— Ależ ja wcale nie widziałem tamtej wieży, zapewne że to latarnia jakaś, ale spojrzysz pan tu ot!... coż to za czarne straszydło ogromne wygląda z morza i na nas patrzy wyraźnie? Czyliżbym istotnie złudy doznawał i sam jeden to widział tylko?... bo na naszym statku nikt tego widzieć się nie zdaje, a przecież jedno uderzenie ogonem tej potwory wyrzuci nasz parowiec w górę jak łupinę orzecha!

— Hm, jeżeli to złuda, w każdym razie i ja jęj doznaję — mruczy pan Antoni zakłopotany trochę, spogląda na pokład i widząc kapitana stojącego najspokojniej i rozglądającego się w około bez szczególnego zajęcia, dodaje: — Panie kapitanie, co to jest, tam?...

— To? to latarnia morska, a tam dalej składy i budo-
wle na wyspie Onrust.

— A ten czarny podłużny ogrom wyglądający ze spokojnych głębin, jakby chciał użyć świeżego powietrza o cudnym poranku?

— Ech — ciężko wzdycha Holender — to ta nieszczęśliwa Francuziczka „Meva” biedaczka od ośmiu lat usiadłszy na mieliźnie wygląda tak miłosiernie ku niebu, jakby błagając wichrów i burz, aby zakończyły już raz nędzę jęj, niweczając ją ostatecznie.

— Aha... a więc to okręt... coż za ogromny gmach...

— Dla tego to i osiadł na mieliźnie tam gdzie inne mniejsze przepływają spokojnie, bo głębszej od innych wody potrzebował.

I znowu pojawiają się zielone jak ruta wyspy i wysepki, które Holendrzy panujący tutaj oddawna, ponazywali po swojemu, nazwiskami miast swoich dawnych na starym łądzie: Amsterdam, Middleburg i t. d.

— A ta? A ta jak się nazywa? panie kapitanie? — py-

tam zachwycony zarówno jego uprzejmą rozmownością jak i cudownymi wysepckami, które zdaje się, w pewnej odległości oczywiście, że możnaby wziąć na okrągły lub podłużny porcelanowy półmisek i postawić na stole ku jego ozdobie.

— E... te maluteczkie takie śliczne istotnie, że aż chce się człowiekowi je pocałować, te wcale nie mają nazwiska, zupełnie jak te najbiedniejsze maluchne sierotki dziecięcki, o których to z pozoru nikt nie myśli niby, a przecież... różnie im się dzieje na świecie, aż...

— Co: Aż? Co miałeś pan powiedzieć panie van Verde?

— A to tylko, że 27 Sierpnia 1883 roku wybuch wulkaniczny i napędzone przezeń aż tutaj fale morskie sprawiły tu straszliwe spustoszenia... których ani śladu niema już obecnie: przepotężna siła przyrody bierze tu na siebie w jednej nieledwie chwili zagojenie ran jakie sama zadaje. Co miało zniknąć znikło i przepadło, co miało powstać powstało i zjawilo się i znowu wszystko zakwitło bogatą zielenią, przetykaną tysiącbarwnym kwieciami, ożywionem miliardami istot mniejszych i większych, niedojrzanych prawie, błyszczących miliardami barw i ich odcieni tonów i półtonów, powołanych do życia potęgą równikowego słońca.

Ponieważ niema tu właściwie ani przedłużonego po naszymu zmierzchu ani przedłużonego świtania, przeto słońce zaledwo zapłonawszy ognistym blaskiem, już i piecze południowym nieledwie upałem, którego potęgę miejscowe i chwilowe tylko łagodzą okoliczności. I otóż teraz okrążając ciągle wybrzeża Jawy w pewnej odległości jednakże, pod wpływem ożywczej atmosfery na pełnem morzu doznajemy niewypowiedzianie miłego, letniego chłodu. Ach, siostrozyczko, kto tego nie uczuł, ten z pewnością nie pojmie jaką rozkoszą jest taki chłód, po długotrwałym, duszącym upale; a jednak termometr opadł tylko na dwa stopnie, w tej chwili mamy 27.

— O!... gdybyż zawsze było takie miłe ciepło!...

— Oh!... byłoż tu ciepło, było!... — mruczy kapitan patrząc zadumanym wzrokiem na wybrzeża jawańskie, wzdłuż których płyniemy teraz. Oto tam leży obwód Tagerang: na tej przestrzeni jaką oko ztąd objąć może, kwitło przed niewielu miesiącami czternaście wiosek i miasteczek, z tych pięć częściowo oto tam i tam... ku południowi majaczejaz jeszcze czczątkami swemi. Dziewięć z nich zniszczył w roku 1883, nie wybuch wulkaniczny właściwie, ale następstwa jego straszliwe, które w postaci wylewu morza aż tutaj uczuć się dały. Fale morskie podniosły się wzburzone i jak rozjuszony potwór, rozryły, zdeptały, i poszarpały wszystko co napotkały na tych wybrzeżach na przestrzeni 1,500 metrów w głąb kraju... O!.. okropne są zawsze i wszędzie wstrząśnienia tej przepotężnej siły, która w głębinach ziemi ukryta, zdradza się tylko niekiedy ognistym gniewu wybuchem, ale najstraszniejsze tam gdzie morze się do nich przymiesza .. oh...

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Wedle doniesienia jednego z dzienników francuzkich jaskółki wkrótce usuną gołębie z pola działalności ich przy armii. Niejaki pan Desbouvrie zamieszkały w Roubaix mając jeszcze lat 10, powziął zamiar przyswajania tych ptasząt i doszedł z niemi obecnie do zadziwiających rezultatów. Widywano, mówi tenże dziennik, po niejakiem czasie młodego chłopca chodzącego po mieście a za nim mnóstwo jaskółek, z których jedne szybowały dokoła, inne siedziały na jego głowie i ramionach. Obecnie doszedł on do tego, że żyje z temi ptakami w poufałym stosunku, lubo już wyrósł na poważnego mężczyznę.

P. Desbouvrie twierdzi, że jaskółka odlatuje na zimę nie przez to, aby nie znosiła francuzkiego klimatu, ale dla tego, że jako owadożerca, nie znajduje pokarmu, gdy promienie słoneczne nie ogrzewają dostatecznie powietrza. Daj-

cie jaskółce przytułek i odpowiedni pokarm, a odlatywać nie będzie i średnio ostre powietrze zniesie wybornie.

P. Desbouvrie wybiera z gniazd pisklęta, daje im stosowną do ich przeznaczenia naukę. Otrzymuje na takię hodowli rezultaty świetne, jak się obecnie przekonano. Wynalazł nawet odpowiedni pokarm na zimę, lecz przygotowywanie jego trzyma dotąd w tajemnicy.

Całe pierwsze piętro swego domu w Roubaix zamienił na jaskólnik. W chwili odwiedzin wojskowych przysłanych obecnie do niego z głównego sztabu, znajdowało się w olbrzymiej sali 20 jaskółek zupełnie przyswojonych, przylatujących na wezwanie do ręki swego pana i biorących z nię pokarm. Z tę liczby 20 ptaków 12 tresowanych było do lotu i powrotu, zaś 8 nie wypuszczało się na wolność, jako przeznaczonych na sprzedaż dla amatorów.

Każda z jaskółek podróżujących miała na nóżce przewiązany kawałek włóczki, której kolor oznaczał stopień skończonę tresury i wiek ptaka.

Dla zrobienia próby wypuścił hodowca na wolność cztery ptaszki. Czas był bardzo wietrzny i padał deszcz ulewny, więc warunki próby bardzo ciężkie, zwłaszcza dla bardzo młodych, z umysłu tak wybranych jaskółek z których najstarsza miała dni 25.

Jaskółki, puszczone na wolność, obleciały kilkakrotnie dom, poczem znikły w przestrzeni. Najślabza wróciła po 25 minatach lotu, trzy inne bawiły o 1¹/₂ godziny dłużej, mimo ulewy.

W kilka dni później robiono próby szybkości lotu. Doskonale już wytresowaną jaskółkę zawieszono w klatce do Paryża i tam puszczono na wolność. Wróciła ona do Roubaix w 90 minut; odległość zaś ta w linii powietrznej wynosi 250 kilometrów.

Rozważywszy takie rezultaty prób i tę ważną okoliczność, że drobnej jaskółki nie trafi karabinowa kula, sztab francuzki przyszedł do przekonania, że mają one nieskończoną wyższość nad gołębiami jako pocztowi posłańcy i postanowił założyć jaskólniki w pobliżu obozu.

LOGOGRYF.

(Ułożył Wuzet).

```
* * * * *
. * . . .
. . * . .
. . . * .
. . . . *
```

Odgadnąć pięć wyrazów tak, ażeby pierwsza litera pierwszego wyrazu, druga drugiego, trzecia trzeciego, czwarta czwartego, i piąta piątego, utworzyła tytuł słynnej powieści historycznej żyjącego powieściopisarza. Znaczenie wyrazów: 1. Kara rodzaju ludzkiego.—2. Księga mahometańska.—3. Strumień.—4. Prawodawca ateński.—5. Narzędzie kary cielesnej.

ZAGADKA.

(od Łapki gołębięj dla Gołębki pocztowęj).

Jestem ozdobą na królewskim czole
Walczone o mnie nieraz lejąc krwi nad miarę,
Ja jednak mam wspomnienia, o! i takie wołę
Gdzie mnie chętnie składano Bogu na ofiarę.
A teraz, czytelniku, przed końcówkę moję
Wsun k, jedną literkę, a jaka ztąd zmiana!
Ta co była ze złota lub srebra ulana
Odnaczy się już tylko przezrzystością swoją.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Szarady:

Ka — ry — ka — tu — ry.

Trójkąta liczbowego:

1. Lelum polelum.
2. Epaminondas.
3. Lubomirski.
4. Urbekowie.
5. Morawski.
6. Pawęzki.
7. Ozyrys.
8. Laski.
9. Eryk.
10. Lam.
11. Ur.
12. M.

Rebusa:

Każdy medal ma dwie strony.

Zamiast rs. 1 kop. 50 tylko kop. 75, z przesyłką zaś pocztową rs. 1, wyjątkowo dla **prenumeratorów Wieczorów Rodzinnych** ustępuje się podręcznik p. t.

METODA NAUKI RYSUNKÓW

przez T. Flinzera.

Z 44-a rysunkami w tekście i 21-a litografowanemi tablicami. Pragnący nabyć podręcznik Flinzera raczą się zgłosić wprost do

Redakcyi *Wieczorów Rodzinnych*

w Warszawie MAZOWIECKA N-r 10.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Było ich trzy, nowelka p. Z. Morawską (dokończenie). — List z Paryża p. Jaskółkę z nad Sekwany. — Psiejda, wiersz (z drzew.) — Kula ziemna na wystawie paryzkiej (z drzew.) — Księga pamiętnych czynów. — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Stosowny podarek, wiersz (z drzew.) — Ocalony ptaszek, opowiedziała Kulka śniegowa. — Kotek Władzi. — Na wakacyach p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



STOSOWNY PODAREK.

Ciepłym latem, raz w ogródku,
Grzecznie choć nie pocichutku,
Bawili się trzej chłopaczki,
Mieli grabie, wózek, taczki,
Wszystko śliczne, maluteczkie
Darowane przez mateczkę.

Z poza sztachet inni mali,
Zabawie się przyglądali,
Ubożuchne snadź biedaczki
Patrzyli się wciąż na taczki
Bo ich bardzo zachwycali:
Aż w tem stanie jeden mały

Na czworakach pośród dróżki,
A drugi go wziął za nóżki,
Ten kieruje w lewo w prawo,
Ów na rękach bieży żwawo,
I było to jakby taczki!

Ze zdziwieniem trzej chłopaczki
Patrzą z sadu na te dziwy,
Aż Anteczek bystry, żywy,
Skoczy prosto do altany,
Do matuchny ukochanej:

— Spójrz, co robią ci biedaczki!..
Pozwól dać im jedne taczki,
Bo ich widać zapragnęli!..

Że to było przy niedzieli
Zawołała chłopców mama,
Wypytała dobrze sama,
Gdzie rodzice? Czem zajęci?
I o własne chłopców chęci.

Potem, zamiast zabaweczki
Dał im Antoś od mateczki
Taczki duże, ot, prawdziwe,
By, wozili na swą niwę
I do miasta i do domu
Co potrzeba było komu
Więc jarzyny, płonki, dziczki,
Bo to chłopcy ogrodniczki.

OCALONY PTASZEK.

Z prawdziwego zdarzenia,
opowiedziała KULKA ŚNIEGOWA.

W piękny letni poranek, Janek i Marynia biegali po ogrodzie. Marynia zatrzymując się zbierała kwiatki i wiała z nich wianek, Janek zaś wypatrywał dojrzewające już owoce. Wtem chłopczyk krzyknął z radości i przywołał prędko siostrzyczkę, która zbliżając się, ujrzała w gniazdku na krzaku jaśminu małe ptaszę; piszczało żałośnie i wychylając na wszystkie strony swój żółty dzióbek, żądało pokarmu. Dziewczynka odsunęła gałęzie i wzięła maleństwo ostrożnie w ręce, a nacieszywszy się jego widokiem, włożyła je napowrót do gniazdku i oddała się cicho wraz z braciszkiem. Po ich odejściu przyleciała matka ptaszka i zaspokoiliła głód pisklęcia; dała mu robaczka, po spożyciu którego zasnęło i ucichło. Gdy na drugi dzień dzieci przyszyły do gniazdku, zastały je pustem, widocznie odgadłszy że ludzie odkryli ich schronienie, ptaszki uciekły chroniąc się od napaści. Janek i Mania bardzo się tem zmartwili, i gdy romzyślali gdzie się podziała matka z pisklciem, z drzewa rosnącego, opodal jaśminu spadło nagle ogromne jabłko wprost do gniazdku, którego o mało nie rozbiło; gdyby w tem gniazdku znajdowało się pisklę, z pewnością byłoby już po niem. Widocznie więc w oddaleniu się ptaków była ręka Boska, opiekująca się równie największem jak i najmniejszym stworzeniem swoim, bo oddalone ptaszęta uniknęły niechybnej śmierci.

Kotek Władzi.

Władzia była bardzo smutna, bo starsza jęj siostrzyczka Olesia leżała chora. Mama i doktor niespokojnie patrzyli na słabą, gorączka wzmagała się ciągle, pomimo lekarstw i starań.

Całą pociechą biednej opuszczonej Władzi był kotek.

Siedziała z nim cichutko na małym stołeczku i głaaskała szare futerko Mruczka, a kiedy Mruczek chciał figlować i gonić jak dawniej kłębek od ciocinnej roboty, to Władzia kładła paluszek na buzi, czasem nawet da-

NA WAKACYACH.

(Dalszy ciąg).

wała klapsa kotkowi, żeby rozumiał że trzeba być cicho, bardzo cicho, bo najmniejszy szelest męczył chorą.

Bóg zlitował się nareszcie nad siostrzyczką Władzi i nad jej mamą, która dzień i noc przy łóżku córki siedziała. Gorączka opadać zaczęła, ale Olesia czuła się jeszcze bardzo osłabioną, nie mogła podnieść główki od poduszki a rączki dziewczęcia leżały bezsilnie na kołdrze.

Mama, ciocia i doktor próbowali bawić chorą i starali się spełniać każde jej życzenie.

— Chciałabym bardzo mieć kanarka — powiedziała raz Olesia, a na drugi dzień kanarek śpiewał już w pokoju chorój.

Władzia przypatrywała się z ciekawością ptaszкови, ale i pan Mruczek przypatrywał mu się także, więc mama zabroniła Władzi wchodzić z Mruczkiem do pokoju gdzie zawieszono klatkę. Biedna Władzia, chciałyby siedzieć przy siostrzyczce, a z drugiej strony żal jej znów było koteczka, który czaił się w garderobie, aby za otwarciem drzwi przybieść do swjej pani.

Oj złe miał ten kotek zamiary!

Nadeszła noc, a noc przy chorym smutna bywa bardzo.

W kąciку pali się przysłoniona lampa, na stoliku ustawiono lekarstwa jest lód w misce, a w filiżance stoi rosół, mama ma nadzieję, że chora napije się go trochę.

Biedna ta mama, od dawna nie kładła się wcale. I teraz siedzi na fotelu słuchając spokojnego oddechu córki, uradowana bo na twarzyczce Olesi nie widać wcale gorączki.

Psy nawet z podwórza zamknięto w stodole, żeby koty szczekaniem nie przebudził słabiej.

Nagle wśród ogólnej ciszy dał się słyszeć pisk i trzepotanie kanarka, przestraszona mama przybiegła do stolika, na którym postawiono klatkę.

Jeszcze chwila a byłoby zapóźno, kot, szkaradny kot, siedział już na niej i sięgał łapką po zdobycz.

Mama odebrała mu ją, ale to czego się bała najwięcej już się stało. Chora wystraszonemi oczami patrzyła na nią i na kota.

— Mamusiu, Mruczek z pewnością zdusi kanarka — powiedziała.

— Odeszlemy go jutro na drugą wieś, bądź spokojna i śpij córeczko.

— Władzia odesłać nie pozwoli, ona tak lubi swego kota.

— Ale ciebie kocha, i chętnie poświęci Mruczka, tylko staraj się usnąć najdroższa.

Za chwilę znów cicho było w pokoju, mama z większym jeszcze niepokojem patrzyła czy gorączka nie wraca.

Nie wróciła na szczęście. Nazajutrz biedna Władzia ze łzami pożegnała wychowańca. Wsadzono go do worka i odesłano do miasteczka. Dziś jest ona już dużą panienką i dziś rozumie że kochać znaczy poświęcać siebie dla drugich.

— O co nie, to nie — powiedziała Lucia kręcąc głowę — ja pamiętam, że jak byłam u cioci w Warszawie, tośmy wstawali o 9-tój, a u nas na wsi, o 8-ój jesteśmy już po śniadaniu.

— Przecież to nie codzień tak jest — broniła Julcia — byliśmy wtenczas w teatrze, wróciliśmy późno, to nas mama nie budziła, ale codziennie ja przed 9-tą muszę już być na pensyi. Widzisz że nie jestem leniuszkiem, chodzę na pensyę, a ty co?

— I ja się uczę w domu, ale teraz przecie wakacje, i panna Leokadya pojechała do rodziców — rzekła Lucia — ja się uczę już grać, czytam i piszę, nawet do „Wieczorów” pisuję liściki.

Lucia zaczęła się unosić.

— I ja pisuję i listy i do „Wieczorów”; ty myślisz żeś tylko sama taka mądra.

— Kiedy tak — zawołała Lucia zapominając się — to moje lalki nie będą się bawić z twemi, kiedy twoje takie warszawskie elegantki, to niech sobie śpią i cały dzień, ja swoich tak chować nie myślę.

— Widzę, że te wieśniaczki bardzo niegrzeczne — wygłosiła Julcia poważnie — dziękuję za takie towarzystwo, i ja nie pozwolę moim lalkom bawić się wcale z twemi, zepsułyby się zupełnie, i niktby ich nie poznał po powrocie do Warszawy.

— Dopiero mi to księżniczki — i Lucia aż poczerwieniała — moje lalki źle wychowane, proszę, nie wiem co ci zrobiły złego, czyż kiedy były niegrzeczne, co? I rozżalona dziewczynka o mało w głos się nie rozplakała.

Odeszła do okna, spoglądając w ogród. A w ogrodzie tak było ślicznie! tak cudnie! Kwiatki poruszały leciuchno główkami jakby się czemuś dziwiąc, nachylały ku sobie kielichy szepcząc coś tajemniczo, a całe grządki astrów zdawały się chichotać, co Lucię zaniepokoiło, bo i z czegożby się śmiały?... Odwróciła oczki od kwiatów, i pomyślała sobie, że to wcale nie pięknie podpatrywać pod oknami, a potem powtarzać, tajemnicę biednych dzieci. Tak, to ten szkaradny powój, wspiał się do okna, podsłuchał, a potem opowiedział towarzyszom. Lucia niecierpi powojów. O, woli drzewko brzoskwiniowe, co sobie stoi na boku. Ale co to tam za gwar na tym drzewku? Taka niezliczona gromadka wróbli, gwarzy hałaśliwie? Tak kręcą łebkami, tak świegocą wesoło, czyżby...

Luci się zdawało że wszyscy i wszystko wie już, że była niegrzeczna dla gościa, stanęły jej w myśli słowa mamy, i — coś ją zakłóło w serduszko. Chwila jeszcze... i Lucia skoczyła do Julci, objęła ją za szyję i ucałowała serdecznie.

— Nie gniewaj się, już nigdy nic na twoje lalki nic nie powiem — rzekła wesoło. — Chodź ubierzemy je, a potem pójdziemy do ogrodu.

Lucia umyśliła sobie chodzić z Julcią pod rękę między kwiatami, aby widziały, że powój plotkę zrobił, a i wróbli niepotrzebnie o niej świegocą. Właśnie

lalki były ubrane, a kucharka miała zadysponowany obiad, i stała przy kuchence z nieodstępną łyżką, gdy gwar jakiś zwrócił uwagę dziewczynek. Pobiegły... i przestraszona Julcia ujrzała zakrwawionego Władzia, ach! jakże złękła się o braciszka!

Tak więc, pierwszy dzień wakacji, nie upłynął przyjemnie, może inne będą wesołe, może nie zdarzy się nigdy tak straszny wypadek.

Daj Boże, ale zobaczymy.

Przez tydzień cały, Władzio był pod bezustanną opieką babuni, z nią tylko mógł chodzić po ogrodzie, ale o dalszej przechadzce nie było ani mowy. Chłopczykowi zaczynało się przykrzyć takie siedzenie, i prosił aby mu już wolno było iść w pole z wujkiem, lub do lasu na poziomki i czarne jagody.

Gdy się ucho zagoiło o tyle, że zdjęto bandaż, Władzio wypuszczony został na wolność z tysiącznemi jednak upomnieniami dziadziusia i cioci, aby na przyszłość był ostrożny, i nie doznał jakiego wypadku.

— Niech babunia będzie spokojna—rzekł chłopczyk — do stajni już nie pójdziemy, bo nawet i Gucio się boi tego siwego konia, widział jak wyprowadzony przez Andrzeja, skakał i wierzgał nogami, i powiada że za nic nie zbliży się teraz do niego.

— Już ja tam za Gucia nie ręczę — rzekła babunia — dobry chłopiec, ale straszny trzpiot i nierozważny, nigdy nie można przewidzieć, co mu nowego do głowy przyjdzie.

Kiedy tak babcia upomina wnuczka, przyszedł wujek do pokoju, i uśmiechając się mówi:

— No, chłopcy, przygotowałem wam niespodziankę. Nie wołany ani szukany, Gucio wbiegł do pokoju.

— Wujeczku — wołał odedrzwi — ciocia powiedziała że nam wuj zrobi niespodziankę, mój złoty, mój jedyny, jaką?

— Każdy z was będzie miał swego konia na czas wakacji — rzekł wuj, patrząc jakie ta wiadomość zrobi na chłopcach wrażenie.

Obadwa aż poczerwienieli z radości, Gucio na środku pokoju przewrócił koziołka, a potem poskoczył do wujka, i zaczął go ścisnąć i całować po rękach.

— Ach! złoty! kochany! najlepszy wujaszku — wołał podskakując ciągle — toż ja cały dzień będę jeździł, nie chcę już nic, ani obiadu, ani kolacyi, na jedną chwilę nie zsiądę z konia.

— Czy i ty Władku zrobisz tak samo — zapytał wuj Władzia, któremu oczy błyszczały radością. Chłopczyk pomyślał chwilę.

— Nie wujku — odrzekł — bo przecież koń jeść potrzebuje i spocząć, ja nie chcę go zamęczyć i zamorzyć głodem.

— Pojadę z nim na koniczynę i napasę — krzyknął Gucio biegnąc po pokoju i cmokając jak na konia, hop! hop! hop!

— Szalawiła—szepnęła babunia machnąwszy ręką.

— Zuch chłopak — rzekł dziadek do wujka.

— A kiedy dostaniemy te konie? — zapytał Gucio.

— Jutro dopiero — rzekł wujek — dziś odpoczywają i pasą się, aby mogły dobrze chodzić. No, pamiętaj-

cie, żebyście ich nie zamęczyli. Chłopiec z koniem znać się powinien, ale też i obchodzić się z nim dobrze musi.

— A czy skaranie Boże — mówiła gospodyni krzątając się po swoim pokoju — dopiero co położyłam tu klucz od piwnicy i już go niema. Coś dziwnego teraz się dzieje, nigdy tego nie bywało dawniej, ale dziś to już i wytrzymać trudno. Z pewnością Gucio klucz gdzie schował, a już też większego zbytnika niema chyba na świecie.

— Gosposiu! — zawołała Marynia wbiegając — ktoś kurnik otworzył, i wszystkie kury wypuścił, już dziś ani jednego jajka nie będzie.

— A nie mogłaś to kurnika na klucz zamknąć, co? — rzekła rozgniewana gospodyni — to ty nie wiesz że teraz wszystko musi być inaczej, toż już trzeci raz psocą, a mówiłam ci zamknij kurnik. Teraz biegnij i łap kury, ja się nie pytam, musi ich być trzydzieści i basta, chcesz kupuj jajka, nie chcesz łap kury i koniec.

— Dlaboga! gosposiu, a czy ja to w możności łapać kury, rozleciało się to lichy po krzakach i kątach i gdzie ich ta szukać będę — mówiła Marysia prawie z płaczem.

— Szukaj gdzie chcesz — ofuknęła gospodyni — i ja tu ledwie nie zwaryuję, śmietana do obiadu potrzebna, klucz tylko co położyłam w tym koszyku co zawsze, no, rozstąp się ziemi, niema.

A Gucio tymczasem biegł w pole z Władziem do zniwiarzy, aby się przejechać na wozie z żytem, które fornale zwozili do stodoły. Ach, jak to przyjemnie siedzieć wysoko, już raz wracali tak z pola, pisarz ich zabrał, i przyjechali aż do samej stodoły. I teraz, przy pomocy Macieja, fornała, weszli na wóz napełniony zbożem, i ruszyli z miejsca, a gdy wyjechali na równą drogę, Gucio prosił Macieja aby mu dał lejce, aby i on trochę mógł powozić. Droga była równa, szeroka, konie spokojne, więc Maciej dał lejce Guciovi, a sam zaczął rozmawiać z Władziem o Warszawie. Władzio był chłopczyk bardzo roztropny, opowiadał Maciejowi różne ciekawe rzeczy, ale gdy zaczął mówić o tramwajach, Maciej tak się oburzył, słysząc jak ciężki powóz jeden koń ciągnąć musi, że aż splunął ze złości.

— Tfu, to trzeba być przez litości nad biednym stworzeniem... paniczu! — krzyknął teraz Maciej, ale było już zapóźno. Chlup! chłopcy i wóz ze zbożem znaleźli się w wodzie.

(d. c. n.)

HOMONIM.

(ułożyła Jedynaczka).

Jestem narzędziem rolniczem,
Również nazwaniem pisarza;
Bezemnie rolnictwo niczem,
Każdy mię zawsze poważa.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 36-go.

Łamigłówki kryształowej:

O
O D A
G R Y K A
O D Y N I E C
D Z I E Ń
L E W
C

Skrzynka do listów.

Nagroda posłana, przeznaczoną jest dla **Przylaszczki**; **Oleńka** odbierze swoją później, z przyczyny niedokładnego adresu.

Pana **Wołodujowskiego**, choć wiadomo, że burzliwy to kawaler prosimy o cierpliwość. Wszystkie łamigłówki, zagadki liściki, czekać muszą na przejrzenie ich i na kolój swoje.

Najmilsze są korespondentki, które tak jak **Gwiazdka Jerolimka**, piszą co myślą i czują. Takim za serce, sercem płacimy.

Każdą drobnostkę biednym dzieciom użyteczną, przyjmujemy z wdzięcznością, **Ireno J.**

Ach! jak rozkosznie pachnąć muszą na wiosnę bzy dziedzińca, a w lecie ów laszek lipowy, o którym nam pisze **Litwinka**. Ale dla czegoż na pięknem tle, siebie tak brzydko odmalowałaś? ktoś co się umie „przywiązać” nie jest nigdy brzydkim dla tych, których przywiązaniem swoim obdarza.

Gołąbka nie jest zbyt srogim krytykiem, niech więc **Szczerść** da folgę sympatii, jaką do niej czuje i liścikiem ją objawi. Fotografiją żadaną radzi poszlemy, ale jako nagrodę.

Współpracowniczką tylko **Wieczorów** jest osoba, którą kochającem serduszkim tak umiłowałaś, droga **Cyganeczko z nad Wisły**, pisuje zaś do was liściki ta, która zastępuje „Kochaną panią” i do której list twój przelałaś. Uściski ci się należą i odbierzesz je z pewnością, a należą się choćby już za to jedno, że tak pragniesz „użyć tatusiowi”. Przygotuj się jednak na to, kochane dziewczątko, że podobne pragnienia nie zawsze się ziścić dadzą.

Listy twoje nigdy nas nie znudzą, cieszymy się bardzo na zapowiedziany twój przyjazd do Warszawy i odwiedziny naszej redakcyi.

Bardzo nam miło, że tak niezemska istota jak **Królowa Wrózek** zstąpić raczyła na ziemię, a właściwie... na deski amatorskiego teatrzyku, na którym „Pannę Barbarę” przedstawiono. A cóż dwór twój robił przez ten czas, Królowo? rusałki, boginki, chochliki i cała ludność zaczarowanych światów? Skoro masz królewską nad nimi władzę, każ im natchnąć śmiałością ową **Amalwę**, która ma taką samą ochotę napisać do redakcyi, jaką ma Redakcyja odebrać od niej liścik.

Czyżyk przysłał zagadkę tak łatwą, że ją lada pośmięciuszka odgadnie. Napisz taką, któraby orłom i sokołom dała do myślenia.

Kameleon sam to zapewno rozumie, dlaczego nie wypada nam powtarzać tego, co inne pismo drukowało, a co niema wartości literackiej. „Określenie szczęścia” także do tej kategorii należy.

Czy **Gwiazdziste Niebo** ma zamiar przysyłać tyle liścików, ile gwiazd na niem świeci? Gdyby tylko wszystkie były tak starannie pisane, jak ten, który redakcyi sprawił taką przyjemność.

Kochana **Akacyjko różowa!** Znamy się troszkę, imię twoje zaczyna się od litery H. Miłe moje **Kulko śniegowa**, **Jagódko z Podola** i ty **Akacyjko różowa**, doniescie mi, co wam się najlepiej podoba w **Wieczorach**? mnie **Pierwsza wycieczka myśliwska** i **Wspomnienia młodego wędrowca**. W których stronach **Podola** mieszkasz, **Jagódko**? Ja także jestem **Podolaną**, mieszkam nad **Sobem**. Niezapominajcie miłe moje o waszej **Śnieżnej Jagódce**.

Droga **Ostróżko biała!** Chętnie będę z tobą korespondować, tembardziej, że jesteście w równym wieku. Imię moje po grecku

znaczy mądrość (nie myśl, że imię stosuje się do osoby!) obecnie jestem w okolicy **Zamościa**, w zimie zamieszkuje **Warszawę**, uczę się prywatnie i lubię bardzo w letniej porze zbierać kwiatki, które tworzą twój pseudonym. Odpisz prędko, bardzo ci życzliwiej **Szczerści**. Światelko całuję serdecznie i zapytuję dlaczego wolało **grzybobranie** nad od odwiedziny kochającej **Szczerści**.

Sympatyczne **rumiane Jabłuszko!** Słusznie pseudonym swój obrałaś, bo kto tak sławnie jak ty **raczki piecze**.. Jak się miewają **laleczki**, czy **zdrowe**? Twój przyjaciel mały **Kazio**, przesyła ci **całuska**, ja tego nie czynię, bo sobie nie ufam czybym cię nie schrupała, miłe **Jabłuszko**... Odpisz prędko nieznajomej **gadatliwej Srocze** z **za płotka**.

Kochana Semiramis! Zdaje mi się, że jesteś **Andzią A.**, czy zgadłam? W okolicy **Ojcowa** wyjadę dopiero na przyszłe wakacje; w **Wieczorach** najwięcej mi się podoba ta sama powieść co i tobie, teraz czytam z wielkiem zajęciem: „**Podróże Sienkiewicza po Ameryce**, donies mi czy znasz jego dzieła, ściskam cię serdecznie. **Niezapominajka z nad Warty**.”

Kochana Niezabudko czeska! W numerze 32 „**Wieczorów**” przesyłaś mi pozdrowienie, co mię zdziwiło (że przyjemnie to pewne) gdyż nawet listownie nie zawarłyśmy znajomości. Możesz się omyliła, wzięwszy mnie za moją imienniczkę „**Gwiazdeczkę**” w każdym jednak razie z chęcią z tobą korespondować będę, jeżeli zechcesz. O twojej miłej osobce mam niejakię pojęcie, bo zaciekawiona kto mię pozdrawia, przejrzałam w „**Wieczorach**” każdą o tobie wzmiankę. **Gwiazdka Jerolimka**.

Droga Cyganeczko z nad Wisły, i **Czarnuszko z Mroczkowa!** Dziś **Cyganeczko** mogę ci tylko serdecznego buziaka przesłać za twój miłutki liścik, gdyż wkrótce znów do ciebie napiszę, a i nieraz pewnie porządnie ci się naprzykrzę, lecz muszę sobie zdobyć kącik w twem serduszu, czy dobrze? A ty **Czarnuszko** donies mi czyś już bardzo wyrosła, bo dawniej **Dziudzi** pewnie byś też nie poznała. Nie zapominajcie, że czeka waszych liścików i bardzo was lubi **Kwiatek polny**.

Droga moja Jaskółko z nad Sekwany i **Kuropatwo z nad Ikopetiu!** Pragnęłam korespondować z tobą, **Kuropatewko**, od czasu odezwy twój do czytelniczek **Wieczorów**. Donies mi, gdzie mieszkaś, i jak ci na imię, czy uczysz się w domu? Ile masz lat? Ciebie zaś **Jaskółko** droga pragnę uściskać serdecznie za pośrednictwem naszego **Pisemka** po raz ostatni przed wyjazdem na pensyą, co nastąpi w tym miesiącu. **Szczerze** was kochająca **Filaretka**.

Kochane Czarnooka z puszczy i **Królewno Salin!** Ucieszyłyście mię bardzo tem, że chcecie ze mną korespondować, (gdź od dawna tego pragnęłam) dziękuję wam bardzo za miłe liściki, szczególniej tobie **Królewno**. **Konno** już nie jeżdżę, lecz dawniej była to dla mnie wielka przyjemność. Powieści „**Nad Niemnem**” nie czytałam, tylko niektóre ustępy, a ty czy znasz „**Dewajtis'a**”? Ja to z wielkim zajęciem czytałam. Wam **Gwiazdko**, **Powojko** i **Halko z Warszawy**, dziękuję za liściki i życzenia; **Częstochowski** obraz wielkie wywarł na mnie wrażenie. Pisujcie do mnie i doniescie czy wakacje wam miło zeszły. Ty miła **Czarnooka** opisz mi siebie, imię moje jest **Marya**, starszą wprawdzie jestem od ciebie. Przyjmijcie uściśnienia od **Galązki paproci**.

Kochane Wisienko z nad Sobu i **Biedronko warszawska!** Nie potrafię wypowiedzieć, jak się ucieszyłam waszemi liścikami. Napiszcie mi jeszcze coś więcej o sobie. **Mówisz Wisienko**, że nie masz wcale wakacyi, pewnie się przygotowujesz do egzaminów, ja miałam 2 miesiące wolne i wybornie się bawiłam. Przebaczę ci **Biedroneczko**, jeżeli mi prędko odpowiesz. Rzeczywiście na imię mi **Zosia**, ale mam już lat 10, mam cztery siostry, dwie z nich **Lewkonია** i **Kołowrotek** pisują już do **Wieczorów**. Odpowiedzcie waszej **Góralce**.

Kochana Łezko z nad Lutyni. Znamy się dobrze, na imię ci **Wańdzia**, a mnie... odgadnij... mam lat dziewięć, siostrzyczkę młodszą. Ściskam cię wraz z **Szarotką** i **Kropelką rosy**. Odpisz prędko **białej Orliczce**.